



Władysław Orkan

*BEZDOMNI*





# BEZDOMNI

Władysław Orkan

— Mamo! daleko jesteście?...

— Z pół mili... Zaraz będą chałupy za tym lasem... Zimno ci, Jasiu?...

— Nie, matusiu, nie...

Taką urywaną rozmowę wiodło dwoje ludzi — matka i syn. Matka szła naprzód, torując drogę synkowi w zaspach śniegowych... Ile razy głębiej zapadała — zwracała się do dziecka, mówiąc:

— Jasiu! ostrożnie... Obejdź bokiem...

— Dobrze, mamusiu, dobrze... — szeptał zmarzniętymi wargami chłopiec, usta zacinał i nie skarżył się, biedny, choć mróz do serca zaglądał... I teraz, gdy matka pyta go:

— Zimno ci, Jasiu?... — On odpowiada: — Nie, mamusiu, nie... — a odpowiedź ta drżąca, jak głos potrąconej struny, potwierdza pytanie, choć słowa kłamią rzeczywistości.

Dwoje ludzi w walce z zaspami śniegu... Dwie nikłe istoty, uczuciem gorące, w zapasach z bezgraniczną, zimną, martwą naturą... Kto zwycięży — człowiek czy bezduchowy, ogrom?...

— Mamo, daleko jesteście?... — pyta Janek.

— Zaraz, zaraz, ino pójdź, Jasiu, nie ustoj!... — błaga matka. — Za mną, za mną... — i kolanami kraje stężały śnieg, ostatnich już prawie dobywając sił... Czuje, że słabnie, ale i to czuje, że musi iść... Inaczej zimna śmierć otuli ją i Janka.

— Zeby się ino śnieg nie poruszył!... zeby ino wiatru nie było!... — mówi do siebie szeptem niezrozumiałym... A tu, jak na odpowiedź, wicher powiał od lasu i ostrym śniegiem w twarz jej rzucił.

— Boże!... — szepnęła tylko i dalej stawia omarzone nogi, martwe, szkieletowe... A za nią, wolą raczej niepojętą niż siłą prowadzone, stąpa w ślady skostniałe

dziecko, otulone paruchą, którą matka zdjęła ze siebie...

Chwilę ciszy — i wicher zerwał się jeszcze gwałtowniej niż przedtem, sprzągnął wszystkie tumany i ostrą śnieżycą ku obłokom podrzucał...

— Mamo...

— Co? moje dziecko...

— Mamo... — szepleni pacholę niewyraźnie i skulone opiera się o twarde śnieg.

— Jasiu! jak ino mozes... juz niedaleko!... — błaga matka, a w głosie jej drgają wszystkie struny: miłości, prośby i bezgranicznej rozpacz...

Zdejmuje chuścinę z głowy — otula dziecko.

— Jasiu! dziecko moje... jesce kawołecek!...

— Ni mogę... mamo... — szepcze coraz ciszej i bezsilne opada na zmarzłe łono śnieżne...

Matka stanęła — łamie skostniałe dłonie, a wicher jakby okropności chciał dodać jeszcze temu przerażającemu obrazowi — rozwiął jej włosy czarne, i straszną była w tej niemej, niebo skarżącej rozpacz...

Śnieżycy-matka, widząc swe uosobienie, ostrymi pocałunkami drapie ją po twarzy...

— Jasiu!... — szepce przez zęby i nachyla się do dziecka, którego wzrok szklany, na nią bez wyrazu zwrócony, odebrał jej resztę sił. — Pragnie podnieść dziecko i sama na kolana upada... Mróz ścisnął je, przywarł do ziemi i, ziębiąc krew, pchał się ku sercu...

— Gdzie ty, Boze, co dajes ginąć dziecku?! — wyrwało się zgrzytem z zamarzłych warg. — Za co mnie karzes tak strasznie?... Tu... bez księdza... — Pragnie się podnieść, kolana przymarzły do śniegu...

— Przekłęci ludzie!... wygnali z chałupy... Bodaj tak... — Nie dokończyła. Ostatek rozpacz uleciał z przekleństwem...

Ból straszny ścisnął serce, wyżerał oczy i promieniami rozchodził się po ciele... Wargi chciały jeszcze modlitwę szeptać; myśl ją dokończyła... może — na drugim świecie...

Błyszczały diamenty śnieżne, mieniając się barwami w świetle gwiazd, które rzadkimi oczkami patrzyły spoza czarnej mgły... Błyszczały gwiazdki po śniegu

— a cztery większe od innych, jak rzadkie okazy diamentów między piaskiem drogich kamieni... Błyszczały oczy zamarzłych.

Litośny wicher rzucał śniegiem na cielesne trumny — i rosła... rosła śnieżna mogiła.

I uszło trzy dni... Czas płynie jak woda. Wioska biała promienieje gwiazdkami śniegu w nieciepłym świetle słońca...

Ludzie z bliska, od kościoła — spieszą po skrzypiącym śniegu na mszę św. Z dalsza nie dojdzie, bo zaspą...

— Komu to wczora dzwonili... — pyta stary gazda kobiety już niemłodej.

— E, wiecie... tej od Chowańca.

— Umarła?

— Toście nie słyseli! Umarzło biedactwo kiesz razem z dzieckiem. Wypędzili z chałupy. Ta i posła aa noc... Znaleźli ją dopiero na drugi dzień — pod zaspami. Narobiło się to, narobiło!... I wygnali, skoro już sił nie stało, jak nie przymierzając — psa...

Stary pokiwał głową — a idąc ku kościołowi szeptał „Wieczne odpoczywanie” i „pięć pocierzy” za duszę komornicy...

Przecię i jemu robiła...

— A było to pracowite — pomyślał; — tak marnie... Przecie to ludzie gorsi od zwierząt!... Wygnać na mróz...

I znowu począł:

— „Wieczne odpoczywanie...”